N° 25.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznéj.



OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 9 (21) Czerwca 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

RAFAEL I MICHAŁ ANIOŁ.

Czasy starożytnéj Grecyi i Rzymu były epoką czystego klassycyzmu. W nich duch ludzki lubował się zachwytami natury i wszystko cokolwiek tworzył, oblekał w kształty przez zmysły pojęte. Religija, poezyja, literatura, sztuki piękne, były podówczas, że tak powiémy, na wskróś klassyczne. Nie ma w ich formie nic coby pochodziło z po za rzeczywistego świata. — Wieki średnie głęboko przejęte duchem Chrystyanizmu, ożywione wzniosłemi jego pojęciami, jakby odwróciły się od natury, upatrując w niéj wszystko za błache i przemijające, stworzyły czasy romantyczne. — Są to dążności najpiękniejsze, bo wskazujące odległe dla ludzkości cele; pomimo to wszakże dążenia te rozszerzając się wszechstronnie i pozbawiając myśl formy, którą tylko z natury czerpać mogła, zniosły sztukę. Wiek XVI dopiero, który Włosi wiekiem złotym zowią, nawraca myśl ludzką do zapomnianego a raczéj wzgardzonego klassycyzmu. Odmienne jednak idee świata chrześcijańskiego, nie mogą przyjąć bezwarunkowo dawnych form klassycznych, lecz godzą z niemi swoje pojęcia, i tym sposobem wytwarza się sztuka nowoczesna. Niełatwo było zadosyć uczynić jéj wymaganiom, i potrzeba było całéj siły geniuszu, by podołać mogła wszystkim warunkom, jakie nowe pojęcia stawiały. Pod dłutem wszakże i pędzlem dwóch znakomitych mężów, których treściwe życiorysy tu podajemy, nikną wszelkie trudności, i sztuka występuje w całym swoim blasku.



Michał Anioł. — Rafael.

Rafael Sanzio urodził się roku 1483 w Urbino. Ojciec jego będąc sam malarzem, zajmował się pierwotném jego wykształceniem. W krótce jednakże szybko rozwijające się zdolności młodego artysty domagały się większéj znajomości sztuki. Udał się więc do Perugina, z Perugii. Ale i tego w krótkim czasu przeciągu prześcignął. Jak wielkim był talent Rafaela, ztąd wnosić możemy: że mając zaledwie lat 17 wieku już malował, dla kościoła w Citta di Castello, obraz przedstawiający S. Mikołaja z Tolentino, który mu zjednał ogólne uznanie wyższych jego zdolności. Wkrótce otrzymał zlecenie oddania w katedrze Sieńskiéj, głównych czynów z życia Piusa II. Wykonanie téj pracy postawiło go na równi z pierwszymi owych

czasów artystami, jakimi byli: Leonardo da Vinci, Massacio i Bartolomeo di San Marco. Był to czas kiedy ściany kościołów zaczęły się przyozdabiać obrazami, w których nie widać już postaci średniowiecznych, wybladłych i ascetycznych, a natomiast wzniosłe pojęcia religijne występują na nich w całéj pełni życia i siły. Równocześnie plafony w pałacach Florencyi zaczynają przyozdziewać się malowaniami przedstawiającemi ważne wypadki dziejowe, dającemi obszerne pole do rozwinięcia artystycznych zdolności.

Gieniusz Rafaela zwrócił na siebie ogólną uwagę. Jakoż w r. 1508 wuj jego Bramante, budowniczy kościoła S Piotra, wezwał go do Rzymu i przedstawił papieżowi Juljuszowi II, który mu polecił przyozdobić freskami sale Watykanu. Wielka ta praca zajęła kilka lat czasu. Wtedy to właśnie Michał Anioł malował na sklepieniach sykstyńskiéj kaplicy. Pomiędzy obudwoma mistrzami wywiązało się szlachetne współzawodnictwo, w którym Rafael odniósł stanowcze zwycięztwo. Będąc równie silnym w wielkości kompozycyi i dokładności rysunku, przewyższył Michała Anioła pięknością kolorytu, łatwością grupowania figur i trudnym do zrównania wdziękiem, zdobiącym wszystkie jego pędzla utwory.

Po śmierci Bramanta, Leon X. postawił Rafaela na czele wszystkich większych robót wykonywanych w Rzymie. Wtedy dopiere nietylko jako malarz, lecz także jako biegły budowniczy, rozwija swoje zdolności, stosując klassyczną architekturę do dzieł przez siebie wznoszonych. Loże w Watykanie pod jego wykonano kierunkiem. Pracował nadto czas jakiś przy budowie bazyliki S. Piotra i dla dalszego jéj prowadzenia nowe nekreślił plany.

Pomiędzy mnóstwém obrazów tego mistrza, na szczególniejszą zasługują uwagę: S. Michał pokonywający Anioła, i S-a Rodzina, wykonane na żądanie Franciszka II. króla francuzkiego. Obadwa znajdują się w Luwrze. Szkoła w Atenach, Sybille i Prorocy, w kościele della Pace w Rzymie; Heliodor wygnany ze świątyni, Anioł otaczający S. Piotra, S. Cecylija, Calates i liczne Madonny.

Każdy kto widział te cudnéj piękności obrazy Boga Rodzicy, w których rozlana jest niewinność anielska, dziewicza i miłość nadziemska, ten z pewnością uwierzy, że mistrz, którego ręka te arcydzieła tworzyła, czerpał pojęcia sztuki z głębi natchnionéj duszy. Wszakże Rafael sam ujawnił tę myśl, że uczucie piękna, piękna — które tak gorąco uzyskać pragnął, tylko z po za ziemskich sfer na niego spłynąć mogło. W akademii S. Łukasza jest obraz, przez niego wykonany, na którym Niebios Królowa objawia się S-mu mężowi, pracującemu ręką i duchem nad Jéj wizerunkiem, — malarzem tym jest S. Łukasz; po za krzesłem jego stoi młodzieniec pięknéj urody, którego myśl pochwycić pragnie tajniki sztuki starszego mistrza, — młodzieńcem tym jest sam Rafael.

Ostatniém jego dziełem, najpiękniejszém jakie kiedykolwiek wyszło z pod ręki malarza, jest przemienienie Pańskie, zachowane w Watykanie.

Zbyt wcześnie dla sztuki i dla świata zmarł Rafael, bo mając zaledwie lat 37, roku 1520. Był on ulubieńcem bogatych i ubogich, wielkich i małych; a po jego śmierci, jak piszą współcześni: „płakał Rzym cały”, bo czuł że zmarł człowiek, który mu ukazał wyżyny sztuki. Kończymy wspomnienie o Rafaelu słowami Vasarego: „O szczęśliwości i błogosławieństwa pełny duchu! O tobie z roskoszą czlek każdy rozprawia i sławi czyny twoje i podziwia dzieła twoje! Zaiste, gdy mistrz ten umarł światu, mogło umrzeć i malarstwo; gdy on zamknął powieki, mogła też olśnąć sztuka na zawsze!... Niebo tyle mu udzieliło miłości, że wszyscy artyści nasi, którzy z nim wspólnie pracowali, łączyli się związkiem serdecznym, wzajemnym; a gdy on w ich kole się zjawił, już z serca każdego ustąpiła wszelka żądza niedobra. Na sam widok mistrza tego uleciała każda zła, niecna, poziomą myśl. A to się działo dla tego, bo każdy był oczarowany jego uprzejmością i artystycznym genijuszem, a więcéj jeszcze czystém sercem jego, które było tak szlachetne i tak miłości pełne, że nietylko ludzie ale i zwierzęta oddawały mu cześć!”

Michał Anioł (Michel Angelo Buonarotti) pochodził z dawnego rodu hrabiów z Canossa. Urodził się roku 1474 w Caprese. Ojciec jego podesta rzeczonéj osady, nieprzychylném spoglądał okiem na zamiłowanie syna do sztuk pięknych, i dopiero poznawszy prawdziwy jego talent i niczém nie dające się zwrócić na inną drogę dążności, zezwolił na dalsze kształcenie się w obranym kierunku.

Michał Anioł wyuczył się malarstwa u Dominika Ghirlandajo, najznakomitszego wówczas mistrza we Francji; lecz z równąż chęcią pragnął wykształcić się w rzeźbie i architekturze. Książę Wawrzyniec Dei Medici, osobiście zajmujący się jego wychowaniem, upatrując szczególne uzdolnienie Michała do snycerstwa, polecił go kształcić w téj sztuce Bertoldowi, uczniowi Donatella, w założonéj przez siebie akademii. Dwunastoletnia praca nad dokładném poznaniem anatomii, uwolniła go od niewolniczego naśladowania dawnych wzorów i obdarzyła tą pewnością rysunku, jaką się odznaczają wszystkie jego utwory.

Wkrótce po ukończeniu studiów przygotowawczych, ukazały się pierwsze dzieła tego mistrza, pomiędzy któremi za najpiękniejsze uważają: statuę klęczącego Anioła nad grobem S. Dominika, w Bolonii; Fauna, posągi Dawida i Bachusa, tudzież wspaniałą gruppę, Mater dolorosa, znajdującą się w kościele S. Piotra w Rzymie. Później z Leonardem da Vinci pracował nad wykonaniem kartonów malowania, mającego zdobić salę główną obrad we Florencyi. W pierwszych latach XVI. wieku wystąpił z obrazem sceny z wojny pizańskiéj, przedstawiającym: żołnierzy kąpiących się w Arno i na znak dany do bitwy, wyskakujących z wody. Dzieło to, pomimo piękności rysunku, nie ujawnia wyższéj myśli kompozycyi.

Znakomite utwory Michała Anioła nie pozwalają poprzestać na powierzchownym ich opisie. Były one zawsze i pozostaną zapewne długo jeszcze przedmiotem głębokich i obszernych studiów. W każdym z nich rozlana myśl wyższa każe badać duszę artysty i śledzić źródła jéj natchnienia. Wszystko co wyszło z rąk tego mistrza przekonywa o wzniosłym jego duchu, w ciągłych zapasach z samych sobą. Dzieła jego nie dążą do miłego upojenia zmysłów, lecz wstrząsają do głębi duszę patrzącego na nie. Natchnienie wyższe widocznie kierowało ręką artysty, a imaginacyę jego podniecały: filozofija Platona, poezye Danta i kazania Savonaroli.

Po ukończeniu wyżéj wymienionych dzieł, Michał Anioł został wezwany do Rzymu, przez papieża Juljusza II, z poleceniem wykonania kolosalnego grobowca, który papież sam dla siebie miał zamiar umieścić w kościele Swiętego Piotra w Rzymie. Najpiękniejszą część jego stanowi posąg Mojżesza, będący arcydziełem rzeźby. O nim to Kremer powiada:

„Patrz na posąg Mojżesza, co jest najwyższym klejnotem jednego z rzymskich kościołów. Zasiadł zakonodawca tak poważnie i uroczysto, jakby na stolicy wszech-ludów. W oczach jego i wejrzeniu i w obliczu całém, w jego rękach, ba, w szatach, we fałach téj długiéj spływającéj brody, tchnie i goreje duch męża co sam na sam rozmawiał z Bogiem, wśród obłoków i błyskawic i gromów. Czujesz, widzisz duchem że to jest mąż co stworzył naród, owszem, co więcéj dokazał, bo dźwignął z upodlenia naród swój; naród, co widział i Faraonów Egiptu i przepych Babilonu i Assyryą ludowładną, co zapamiętał kiedy Rzym się rodził, co był przy skonaniu jego, który przeżył wszystkie ludy, państwa, wszystkie tysiące lat, a przecież jeszcze snuje się pomiędzy nami, chodzi wśród ludów prawnuczych, bo żyje swoją wiarą, choć w rozsypaniu, choć jest niby upiorem pośmiertnym przeszłości zapadłéj.”

Jak wysoce był ceniony Michał Anioł przez papieża, przekonywa nas następujące zdarzenie. Już przez lat parę pracował on nad wykonaniem grobowca Juljusza II. Dzieło to wymagało znacznych nakładów. — Raz, gdy nadszedł transport marmurów, artysta z własnych funduszów zapłacił przypadającą za niego należność, a po upływie pewnego czasu udał się na pokoje papiezkie by prosić o zwrot wyłożonéj kwoty. — Ojciec S-ty odmówił mu posłuchania; co tak obraziło jego dumę, iż natychmiast opuścił Rzym, z zamiarem nie powracania więcéj—i nie zatrzymał się nigdzie, aż po przebyciu granicy Toskanii. Nadjechali w krótce za nim posłańcy papieża, starający się nakłonić go do powrotu i grożący gniewem Ojca S-go, w razie dłuższego oporu. Nie zmieniło to wszakże postanowienia Michała; udał się w dalszą drogę i przybył do Florencyi. Wiele dzieł dawniéj przez siebie rozpoczętych miał zamiar obecnie wykończyć; lecz wkrótce przyszły tu trzy breve papiezkie, do rady dziesięciu, nakazujące odesłanie Buonarottego; czém przestraszony miał zamiar udać się do Konstantynopola, lecz ulegając radom i namowom przyjaciół, postanowił prosić o przebaczenie. Ojciec S-ty nietylko pozwolił się przebłagać, lecz nadto proszącemu udzielił swoje błogosławieństwo. Poczém tenże powrócił do Rzymu.

Po powrocie swoim Michał Anioł prowadził daléj rozpoczętą robotę grobowca Juljusza II. Wkrótce jednakże był zmuszony wstrzymać tę pracę; papież bowiem zażądał iżby bezzwłocznie zajął się malowaniem plafonu kaplicy sykstyńskiéj, na Watykanie. Niechętnie podjął się tego dzieła artysta. Rzeźba bowiem była właściwém jego zajęciem, malowanie zaś alfresco przedstawiało wiele trudności, które nie był pewnym czy pokonać zdoła. Postanowił przeto poprzestać na wyrysowaniu kartonów, wykonanie zaś kolorami pozostawił malarzom z Florencyi sprowadzonym. Widząc jednakże iż nieumiejętnie wywiązują się z poruczonéj im pracy, oddalił ich wszystkich i sam, w ciągu niespełna dwóch lat, wykonał to arcydzieło malarstwa. Przedstawia ono głównie ustępy z

nych, księgi Genesis, postacie proroków i wieszczek, ziemskich Zbawiciela przodków i mnóstwo figur symbolicznych i dekoracyjnych.

Po ukończeniu téj pracy wykonał wiele rzeźb we Florencyi i w Rzymie, wzywany naprzemian to do jednego to do drugiego z tych miast. Za najpiękniejsze z nich są uważane: posąg Chrystusa w kościele della Minerva, w Rzymie; grobowiec Julijana dei Medici, brata papieża Leona X. i synowca Lorenzo księcia Urbino; obadwa znajdują się w zakrystyi ś. Wawrzyńca we Florencyi,—Zdjęcie z krzyża Chrystusa — i wiele innych.

W podeszłym już wieku Michałowi poruczono wykonanie obrazu alfresco, wysokiego 60 stóp, na ścianie ołtarzowéj w kaplicy sykstyńskiéj, przedstawiającego Sąd ostateczny. Potężne to dzieło malarstwa, wykonane w ciągu lat siedmiu, ze względu na dokładność rysunku mnóstwa figur w różnorodnych postawach, wyrażających rozpacz, bojaźń, zdziwienie, przestrach i t. p. daje obszerne pole do studiów kształtów ciała ludzkiego; ogólny wszakże układ przejmuje patrzącego grozą, nie budząc w duszy bynajmniéj religijnéj nadziei szczęśliwości wiecznéj. Zarzucają powszechnie artyście, iż przejęty zbytecznie poematem Danta, ujawnił samą okropność Sądu ostatecznego, zapomniawszy o błogich uczuciach jakie budzą wzniosłe idee katolicyzmu.

W tymże samym czasie wykonał Michał Anioł dwa mniejsze obrazy freskowe w kaplicy Paolińskiéj na Watykanie, z których jeden przedstawia upadek ś. Pawła, drugi ukrzyżowanie ś. Piotra.

Dotąd staraliśmy się wykazać wysokie znaczenie Buonarottego na polu rzeźby i malarstwa,—pozostaje nam poznać teraz jeszcze jego prace budownicze. Dzieła bowiem w téj gałęzi sztuki pod jego wykonane kierunkiem, dają mu niezaprzeczone prawo zajęcia wysokiego stanowiska, wpośród utworów architektury odrodzenia.

W roku 1529 Buonarotti mianowany był przez rząd florencki kommissarzem jeneralnym fortyfikacyj miasta, a następnie wezwany został do Pizy i Arrezo, dla dokonania podobnychże robót. Roku zaś 1535, za Pawła III papieża, mianowany naczelnym arhitektem, rzeźbiarzem i malarzem pałacu papiezkiego.

Do celniejszych prac architektonicznych Michała zaliczyć należy: we Florencyi, budowę zakrystyi ś. Wawrzyńca i przedsionka tamecznéj biblioteki. W Rzymie wzniesiono według jego planów: mury cmentarne klasztoru Santa Maria degli Angeli, nowy zakład Kapitolu (Campidoglo), pałac Farnese i inne. Dziełem ostatniém a najbardziéj uwydatniającém imię Michała Anioła, jako znakomitego architekta, była budowa kościoła ś. Piotra. Kolosalny ten gmach, rozpoczęty podług planów nakreślonych przez Bramanta, bardzo powolnie się wznosił, nastręczając coraz nowe do zwalczenia trudności. W 1514 roku zmarł Bramante. Po nim prowadzili rozpoczęte prace: Julijan de San Gallo — Rafael — Baltazar Peruzzi i Antoni de San Gallo. Po śmierci tego ostatniego, w roku 1546, nie tylko że żadna część budowy jeszcze ukończoną nie została, lecz co gorsza nie wiedziano w jaki sposób prowadzić rozpoczęte dzieło. W tym stanie rzeczy zwrócono się do obarczonego wiekiem Michała Anioła, którego powszechnie znany gienijusz budził ogólne zaufanie. Siedmdziesiątkilkoletni starzec nie chciał podjąć się prawie siły jego przewyższającego trudu, i potrzeba było użyć całéj powagi papiezkiéj, by nareszcie przyjął na siebie obowiązek kierowania robotami bazyliki. Pod nadzorem Buonarottego budowa kościoła posuwała się szybko. Wzniesiono arkady i tambur, na którym pozostawało tylko oprzeć sklepienie wielkiéj kopuły,—śmierć wszakże—na tém kazała zakończyć te piękne prace.

Michał Anioł, powszechnie żałowany, zmarł w Rzymie dnia 17 Lutego 1564 roku. Zwłoki jego przewieziono do Florencyi, a nad grobem w kościele ś. Krzyża, pyszny wzniesiono mu pomnik.

K. Miłkuszyc.

Z SERDECZNYCH SNÓW.

Wśród gwiazd świecących nocą,
Na rozjaśnioném niebie,
Gdzie poszlę myśl sierocą,
Ja widzę wszędzie ciebie.

Gdy pada blask jutrzenki,
Na oczy me o świcie,
Śnię że dotknięciem ręki,
Budzisz mnie, moje dziécię.

Słowik się w cieniu żali,
Przerywa nocną ciszę —
Może to twoję w dali
Piosenkę dźwięczną słyszę?

Gdy rosy krople lśniące
Upadną na powoje,
Ja myślę, że to drżące,
Czyste, święte łzy twoje.

Kwiatów śnieżne kielichy
Szumią powiewem wiosny,
Ja marzę, że to cichy,
Rzewny twój szept miłosny...

Minionych dni widzeniem,
Barwią się ducha ciemnie,
I czekam cię ze drżeniem,
Lecz czekam — nadaremnie.....

Tomasz Zawadyński.

POLOWANIE NA SŁONIE

Do największych, na stałym lądzie żyjących ssących zwierząt, należy słoń. Dawniéj tak częsty i używany w wojnach lub na polowaniach na inne zwierzęta, dziś rzadziéj już znajduje się w Afryce i Azyi.

Słoń odróżnia się zarówno kształtem jak i szczególnemi cechami od innych zwierząt. Ciało jego grubą, szarą skórą pokryte, wydaje się napozór niezgrabném i ciężkiém, nogi krótkie podobne do grubych słupów, z których przednie opatrzone są pięcioma, tylne zaś czterema pazurami, i dla tego też naturaliści zaliczają to zwierzę do wielopazurnych, (*Multungula*). Na głowie, osadzonéj na krótkiéj szyi, ma on długie, obwisłe uszy, oczy w stosunku do całego ciała małe, a oprócz tego trąbę, którą może do 6 stóp przedłużyć, lub do 2 stóp skurczyć, lub nawet zupełnie w kółko jak sprężynę zwinąć. Na końcu trąby, między nozdrzami, znajduje się małe przedłużenie podobne do palca, służące mu do chwytania różnych przedmiotów. Narzędzia jedzenia ma bardzo rzadkie: z obu stron bowiem tak u góry jak i u dołu ma jeden lub dwa wielkie karbowane zęby i dwa z górnéj szczęki wyrastające kły, dostarczające owéj tak drogocennéj kości słoniowéj, służącéj do rozmaitych wyrobów.

Ponieważ słonie w dawniejszych czasach były pospolitsze niż teraz, przeto z kości ich starożytni wyrabiali całe nawet stoły, wozy, trony i t. p. Nią pokrywali drzwi i ściany świątyń, tudzież wyrabiali z niéj różne statuy, przeszło 30 stóp wysokie. Zwierz ten dochodzi 6 łokci wysokości, i waży blisko 7000 funtów. Jeden kieł słonia waży zwykle 60 do 70 funtów, a często 100 lub więcéj.

Naturaliści rozróżniają w ogóle dwa gatunki słonia: *s. indyjski* (Elephas indicus) i *s. afrykański* (El. africanus), których ojczyznę stanowią górzyste okolice starego świata t. j. pierwszy zamieszkuje Azyję południową do rzeki Indus i niektóre większe sąsiednie wyspy, drugi zaś przebywa w południowéj i środkowéj Afryce. Słoń azyjatycki nierównie jest łagodniejszy, zdolny do oswojenia i użycia do różnych czynności; przeciwnie zaś słoń afrykański jest dziki i nie dający się do niczego użyć.

Prócz tych dwóch wyżéj wymienionych, znajdował się niegdyś na północy Mammut (E. primigenius), nieco większy od dzisiejszych słoni, z olbrzymiemi mocno zakrzywionemi kłami i gęstym kędzierzawym włosem pokryty. Wiele szczątków kopalnych tego zwierza znajduje się dotąd w Europie, a szczególniéj w odwiecznych lodach północnéj Syberyi. Wysoka wartość kości słoniowéj, uży-

tek w przenoszeniu ciężarów a nawet i w wojnach, były powodem, że oddawna starano się przyswajać i różnymi sposobami łowić te zwierzęta.

Nic może nie jest więcéj zajmującém jak polowanie i wyprawy na większe dzikie zwierzęta, jako to: lwy, tygrysy, nosorożce, słonie i t. p., ale też nic może z drugiéj strony nie jest niebezpieczniejszém nad podobne wyprawy.

Między podróżnikami, którzy szczególniéj poświęcali się badaniom wnętrza Afryki, znakomite zajmuje miejsce Szwed, Anderson, śmiały wędrownik po nieznanych dotąd krajach, uczony geograf, a zarazem namiętny myśliwy.

Wyjątek z jego podróży, ogłoszony drukiem po raz pierwszy w Londynie 1856 r. zawiera mnóstwo ciekawych szczegółów, z których odnoszące się do polowania na słonie zamierzamy w krótkości naszym czytelnikom przedstawić.

Płaszczyzna Kobi (pisze Anderson) na któréj przepędziłem kilka tygodni, obfitowała w słonie, lwy, nosorożce; żebry i t. p. Giraffy były tu rzadsze i tylko czasami ukazywały się o zachodzie słońca, nad brzegami jezior. Spotkania moje ze słoniami i nosorożcami (mówi daléj tenże wędrownik), często kończyły się nader tragicznie. Razu jednego cudem prawie uniknąłem śmierci:

Siedząc podczas jasnéj, księżycowéj nocy w zasadzce, przyglądałem się malowniczemu krajobrazowi, jaki roztaczał się przedemną, gdy wtém, dumania moje przerwało wcale niemelodyjne mruczenie nosorożca. Był on widocznie w złym humorze, gdyż widziałem jak wywierał gniew swój na wszystko co tylko spotkał na drodze; wyrywał krzaki, łamał drzewa, gruchotał kamienie. Myślałem że już ostatnia moja godzina nadeszła, lecz po niejakiéj chwili straszne to zwierzę chrapnąwszy przeraźliwie, zawróciło się i odeszło. Odetchnąłem nieco swobodniéj, a korzystając z ciemności nocy, podsunąłem się daléj do siedmiu słoniów, których w pobliżu ujrzałem. Właśnie w téj chwili gdym się rozglądał któregoby z nich sprzątnąć, usłyszałem po za sobą głuche mruczenie, a wkrótce potem z niemałém przerażeniem ujrzałem zbliżające się inne stado w kierunku mego schronienia.

Położenie moje nader było krytyczne; znalazłem się bowiem między dwoma ogniami. Były tylko dwa sposoby ratunku: rzucić się do stawu, który był tuż przy mnie, lub też przerżnąć się przez całe stado słoniów. To drugie wybrałem.

Z całą więc energiją i niemal z rozpaczą rzuciłem się na słonie, strzelając raz po raz do nich. Chwilowe przerażenie opanowało zwierzęta, lecz wkrótce oba razem połączone stada rzuciły się na mnie jak huragan. Trąby ich wydawały tak ostre głosy, iż jak się późniéj dowiedziałem, ludzie nocujący w pobliżu przebudzili się ze snu. Na szczęście, ciemność ułatwiła mi dalszą ucieczkę. Ochłonąwszy ze wzruszenia, a raczéj z wielkiego przestrachu i wypocząwszy przez czas niejaki w pobliskim lesie, wyszedłem znowu na zwiady. Najzupełniejsza cisza panowała dokoła. Nad brzegiem stawu ujrzałem jednego już tylko słonia, który nabierając wodę w trąbę, oblewał nią sobie boki. Stanąwszy na dogodném miejscu, począłem śledzić jego poruszenia, gdy tymczasem zwierz nagle zawróciwszy, tak na mnie natarł, że nie było można pomyśleć nawet o ucieczce. Przyklęknąwszy więc zmierzyłem do niego i ugodziłem go kulą w przednią nogę. Słoń ryknął przeraźliwie i znikł w gęstwinie.

Na drugi dzień trupa jego znaleziono w odległości strzału od stawu.

Inny znów podróżnik *Le Vaillant*, tak opisuje swoję wyprawę wewnątrz Afryki w 1780 roku.

„Trafiliśmy, powiada, na ślad słonia, a ja tak pragnąłem spotkać się z tym zwierzem, że kazałem rozbić namiot i zatrzymałem się na miejscu. Jeden z moich przewodników (Hottentotów) znał dobrze miejscowość. Wybrawszy sobie do towarzystwa, oprócz niego, czterech najlepszych strzelców i obficie zaopatrzywszy się w żywność, ruszyłem za śladem. Nadeszła noc, a my jeszcze nie nie spostrzegliśmy. Pomimo to, zupełnie zadowoleni, starając wybić sobie z głowy przyjemność noclegu pod namiotem, rozpaliliśmy wielki ogień i położyliśmy się obok niego na ziemi.

Przespaliśmy jednak tę noc spokojnie. O świcie obudziłem mych towarzyszy i nie tracąc czasu ruszyliśmy znów za śladem słonia. Nie więcéj jednak byliśmy szczęśliwi jak dnia poprzedniego.

Wieczorem znów tak postąpiliśmy jak wczoraj, spodziewając się spokojniejszego snu. Wkrótce jednak nocleg ten został przerwany. Ledwie bowiem minęła godzina, od czasu jak moi hottentoci przy ogniu zasnęli, kiedy bawół przynęcony blaskiem ognia, przyszedł do nas bardzo blisko. Spostrzegłszy nas jednak, przeląkł się i odszedł natychmiast. Szelest, jaki zrządził przedzierając się przez gęste zarośla, obudził nas ze snu. Porwałem za broń, ale już było za późno, bawół zniknął, a my po godzinném szukaniu i kilku strzałach napróżno, wróciliśmy do ognia.

Trzeci dzień był niespokojniejszy niż dwa poprzednie. Po kilku godzinach przedzierania się przez zarośla pełne ciernia, przyszliśmy następnie na otwarte miejsce, gdzie tylko rosły młode drzewka i kilka krzaków. Tu zatrzymaliśmy się. Jeden moich hottentotów wlazł na drzewo, obejrzał się na wszystkie strony i położywszy palec na ustach, dał nam znak przez to, żebyśmy się cicho sprawiali. Potém kilka razy otwierał dłoń i zamykał, chcąc nam dać poznać, ilu słoniów widzi.

Gdy zlazł z drzewa, zastanawialiśmy się co nam czynić wypada i uradziliśmy, aby się do nich pod wiatr i o ile można najnieznaczniéj zbliżyć. Mój hottentot podprowadził mnie bardzo blizko do jednego z tych potworów. Byliśmy tuż przy nim, a jeszczem go nie widział. Stałe bowiem na pagórku powyżéj słonia; pomimo więc ciągłego kiwania ręką mego poczciwego hottentota, patrzałem zawsze przed siebie i nie mogłem sobie wystawić, żeby to, co na dwadzieścia kroków przedemną nieruchomie leżało, było czém innném jak kawałem skały. Nareszcie słoń małém poruszeniem zwrócił mą uwagę na siebie. Nagle, wstrząsnął ku mnie głową, którą potworna massa ciała dotychczas zakrywała przedemną. W mgnieniu oka wymierzyłem swoję wielką strzelbę i tak szczęśliwie trafiłem go w łeb, że upadł na miejscu.

Na strzał ten, reszta słoniów, których było do trzydziestu, przestraszona, z największą szybkością uciekać zaczęła. Ale to był tylko pierwszy akt tego dramatu.

Przyglądałem się jeszcze zabitemu słoniowi, kiedy przebiegł koło nas drugi, postrzelony przez moich ludzi. Z krwawych śladów wniosłem, że jest mocno raniony i poszliśmy za nim. Czasami się kładł, to znów wstawał i biegł daléj, a myśmy ciągle za nim postępowali. Rażony naszymi strzałami wprowadził nas w wysokie zarośla, gdzie tu i owdzie leżały zeschłe, wywrócone drzewa. Za czternastym strzałem rzucił się słoń ze wściekłością na hottentota który go zranił. Hottentot szybko usunął się na bok, wołając na nas abyśmy się strzegli. Ja o dwadzieścia pięć tylko kroków byłem odległy od słonia, lecz pomimo to podsunąłem się daléj niż moi towarzysze, którzy przed straszną trąbą ujść się starali. Uciekałem także, ale słoń coraz bardziéj przybliżał się ku mnie. Na pół umarły, opuszczony od wszystkich ludzi (wyjąwszy jednego, który mi spieszył na pomoc), nie widziałem innego sposobu ratunku, jak rzucić się na ziemię i ukryć za dużém przewróconém drzewem. Ledwiem to zdołał uczynić, gdy słoń tuż za mną nadbiegł, przeskoczył przez drzewo, ale nastraszony hałasem, jaki przed nim moi towarzysze sprawiali, stanął przysłuchując się uważnie. Leżałem nieruchomie na ziemi, oczekując roztrzygnięcia swego losu. Niedługo jednak pozostałem w téj niepewności. Słoń bowiem przestraszony ciągłymi krzykami moich kolegów odwrócił się, przeskoczył drugi raz przez drzewo, pod którém leżałem, a nie widząc mnie wcale, stanął o sześć kroków odemnie. Wtedy powstałem i częścią z niecierpliwości, częścią dla dania znaku o sobie strzeliłem do niego.

W krótce zniknął nam zupełnie z przed oczu, a z krwawych śladów jakie wszędzie po sobie zostawiał, łatwo mogliśmy wnosić, jak ciężko być musiał raniony. Tymczasem noc się zbliżała. Pospieszaliśmy więc do owego słonia, którego szczęśliwie jednym wystrzałem zabiłem. W sam czas przyszliśmy, gdyż mnóstwo drapieżnych ptaków i zwierząt znajdowało się przy nim. Rozłożyliśmy kilka ognisk, a ponieważ zabrakło już nam żywności, moi ludzie upiekli sobie część mięsa ze słonia, a mnie ofiarowali kawał trąby. Pierwszy raz kosztowałem téj potrawy, ale tak mi zasmakowała, że postanowiłem jadać ją częściéj. Jeden z hottentotów zapewniał mnie, iż zapomnę o trąbie, gdy nóg pokosztuję, i dla dowiedzenia mi tego, zaczął zaraz robić przygotowania do smaczniejszego śniadania na przyszły ranek. Wykopany czworoboczny, na trzy do czterech stóp głęboki dół w ziemi, napełniono żarzącymi węglami, położono na nie drzewa i przez część nocy podtrzymywano ogień. Gdy już dół dostatecznie został ogrzany, wyczyszczono go, a hottentot włożył weń cztery nogi słonia, okrył je gorącym popiołem, żarzącymi węglami i na tém wszystkiém rozpalił mocny ogień, który aż do rana podtrzymywano. Przez całą tę noc spałem sam tylko, gdyż moi towarzysze ciągle czuwali. Rano opowiadali mi że słyszeli wielu słoniów i bawołów. Nie dziwiłem się temu, gdyż tak jednych jak drugich nie brakowało w okolicznych lasach, — a zapewne liczne nasze ogniska wstrzymywały ich od napaści na nas. Łapa słonia którą pożywałem na śniadanie, rzeczy-

wiście była wyborną. Zjadłem ją całą bez chleba, a moi hottentoci żywili się innemi częściami zwierza, któreim również bardzo smakowały. Resztę poranku spędziliśmy na obłamywaniu kłów słoniowi, a będąc bardzo znużeni, powróciliśmy do swego obozu, zamierzając na drugi dzień w dalszą udać się podróż.”

Kazimirz Mejer.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

ROZDZIAŁ I.

— Szkaradny ten stary dom, Denizo, rzekła Sybilla z westchnieniem. Zanudzę się w nim na śmierć.—Deniza klęczała przy kominku poprawiając ogień. Podniosła oczy na swoję młodą panią i zdawała się zastanawiać nad tém co usłyszała.

Kuchnia do której zeszła Sybilla Kennedy, dla wyrzeczenia powyższéj opinji, wcale nie była szkaradną, zdaniem Denizy. Była to izba niska, przestronna i cicha. Belki dębowe, sczerniałe od starości, podtrzymywały pułap, od którego świetnie odbijały rzeźbione, politurowane drzwi szafy i kredensu, sięgające po sam sufit. Trzy okna z ośmiokątnemi z zielonawego szkła szybami (jedno z nich zasłonięte było żaluzyą, naśladującą winne liście), wpuszczały stłumione światło, snujące się po czerwonych cegłach posadzki i niknące w czarnéj otchłani komina. A był to komin obszerny, ponury, głęboki, zbudowany z kamienia, z grubo-rzeźbionemi na nim lilijami i ślimakami. Na kapie szereg błyszczących świeczników i świętych obrazów, w czarnéj oprawie, stanowiły nieposlednią ozdobę. W całém miasteczku Saint-Vincent nie było drugiego takiego jak ten komina, a i komin i cała kuchnia były rozkoszą serca Denizy.

— W 1793r.—rzekła z wielką powagą,—mój pradziadek, który był malarzem, na żądanie pana de Renneville, pociągnął gipsem ten komin, aby zakryć lilije, które też ocalały tym sposobem.

Sybilla ziewnęła i z wielką obojętnością rzuciła okiem na komin. Wiedziała że się nim zachwycano, tak jak i starém opactwem, z jego wieżą i klasztornymi budynkami, z jego gruntami, położonymi nad ponuro-huczącym kanałem La Manche; ale z wesołego pensyonarskiego życia w Brompton, przenieść się nagle na brzegi Francyi, do starego klasztoru przerobionego na mięszkanie, niebardzo mogło się podobać siedmnastoletniéj panience. Prócz tego pan Kennedy zapomniał jéj zostawić klucz od biblioteki. Wyszedł rano, teraz była już godzina piąta po obiedzie. Ciotka jéj, Miss Glyn, oczekiwana w tym tygodniu, nie przyjechała dotąd. Nie dziw więc, że Sybilla „nudziła się na śmierć.”

Deniza, żwawa francuska dziewczyna, około dwudziestu pięciu lat mająca, zdawała się zdziwiona zniechęceniem młodéj swojéj pani.

— Ostatnia ksieni, — rzekła powoli — lubiła Saint - Vincent. Stary ten dom nie wydawał jéj się smutnym.

— Bardzo być może; miała przecież dziesięć zakonnic przy sobie, odpowiedziała niecierpliwie Sybilla. — Ah, gdyby było ze mną dziesięć młodych mniszek,— dodała z wielką powagą—bardzoby mi się w Saint- Vincent podobało.

Ale należy nam opisać Sybillę Kennedy. Była to smukła, czarnooka i ciemnowłosa dziewczyna, jeżeli nie zupełnie piękna, to w każdym razie ładna i pełna wdzięku. Swieża była i promieniejąca, jak dziki, polny kwiat, w letni poranek. Mimo owych śmiertelnych nudów, miała tak wesołą młodą twarzyczkę, iż rozkosz było patrzeć na nią. Dobry humor i dobroć malowały się na jéj pogodném czole. Różowe usta zdawały się być stworzone do szczeréj mowy i słonecznych uśmiechów. W całéj jéj postaci przebijała się swawola, wesołość i dowcip. Jeden tylko kontrast do tego wesołego opisu stanowiły oczy, czarne, duże i pełne namiętności. Dziwne to były oczy u tak wesołéj i młodéj dziewczyny! ale znaczenie ich nieznane dotąd było ich właścicielce. Zapowiadały bowiem kapryśne i gwałtowne wstrząśnienia, krótkie i gorące uciechy, a być może i długie smutki, jeżeli żywość uczuć prowadzi do wielkich cierpień. Dotąd jednak całą tragiczność dla niéj stanowiły nudy i tłumione, lekkie poziewanie. — Rzekła:

— Myślałam, że napewno spotkam tu jakie historye w tym starym domu: duchy, lub legendy, lub coś podobnego; ale teraz widzę że to wszystko takie niedorzeczne. —

Szelest otwierających się drzwi przerwał Sybilli. Obejrzała się i ujrzała ogrodnika, Narcyza.



Polowanie na Słonie. (str. 195).

Prawda zmusza nas do oświadczenia, iż pogański młodzian, dla którego własna piękność tak fatalną się stała, nie był prototypem tego sługi pana Kennedy. W istocie, nowożytny ten Narcyz mógł golić się i czesać włosy w owalném zwierciadle, zdobiącém jego izdebkę, bez niebezpieczeństwa ulegnięcia losowi starożytnego. Był to nizki, czarniawy, około pięćdziesięciu lat mający człowiek, z długą, chudą twarzą a szerokiemi plecami — słowém, wcale nie piękność. Trzymając się ręką drzwi, Narcyz wsunął głowę do kuchni i kłaniał się młodéj swojéj pani.

— Narcyzie, nie chcę być dręczoną pytaniami, — rzekła Sybilla. — Nie wiem nic — nic nie mogę powiedzieć — oto wszystko.

— Powiedziałem mu tak, — odrzekł dobrodusznie Narcyz, pocierając nogę o nogę, może dla podrapania się.

— Komu? niecierpliwie zapytała Sybilla.

— Ostrydze.

Było to figuryczne powiedzenie. Narcyz bowiem lubił przenośnie. Ta tutaj oznaczała nienawiść lub wzgardę.

— Powiedz, że ojca nie ma w domu.

— Powiedziałem mu, ale nie chce odejść—prawdziwa ostryga.—

Ponieważ ostrygi nie odznaczają się zdolnością przemiany miejsca, Narcyz sądził, że przydomek ten doskonale się da zastosować do upartego obcego człowieka. Sybilla uczuła maleńkie zaniepokojenie. Co to był za interesant? — Średnich lat, wysoki, chudy,— tak go Narcyz określił. Sybilla spoglądała zakłopotana. Może to być ostryga najlepszego gatunku i smaku, ale cóż z nią robić?

— Czeka w ogrodzie, — rzekł Narcyz.

— Wprowadź go do pokoju, odpowiedziała Sybilla.

— Ma przy sobie torbę podróżną.

Torba podróżna zmieniła postanowienie Sybilli. Widocznie wizyta obrachowana była na czas dłuższy, a ponieważ ojciec miał przyjść niedługo, roztropniéj było pozostawić gościa w ogrodzie. Tymczasem uznała Sybilla za potrzebne iść na górę i zrekognoskować nieprzyjaciela przez okno pierwszego piętra. Opuściła więc

kuchnią, przez drzwi przeciwne tym, w których jeszcze stał Narcyz. Saint-Vincent było opactwém. Długi więc ciemny passaż prowadził od kuchni do klasztoru, niewielkiego, ale pięknéj gotyckiéj struktury. Jasne słońce rzucało ostre cienie sklepionéj galeryi na mur otaczający klasztor. W środku czworoboku wznosił się rzeźbiony krzyż kamienny, pięknych rozmiarów, ale trawa wyrastała z pośród kamiennych fliz tego spokojnego dziedzińca, na którego murach Sybilla mogła jeszcze czytać wpółzatarte napisy, na których niegdyś spoczywały oczy jéj pobożnych poprzedniczek. „Błogosławieni którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni,” mówił jeden. „Przyjdźcie do mnie którzy obciążeni jesteście a ja wam dam odpoczynek,” mówił drugi, a trzeci zdawał się odpowiadać w słodkiéj i czułéj mowie: „Jako jeleń pragnie źródła wody, tak dusza moja pragnie kochać, mój Boże.”

Sybilla zatrzymała się przechodząc przez klasztor. Miała wiarę i maginacyą, a ta milcząca mowa podniecała jednę i drugą i była zarazem pewnym wyrzutem dla jéj serca. Jak mogła szemrać na swój los, tak spokojny, tak pomyślny, gdy inni, niestety, znaleźli szczęście i zadowolnienie w tych ciasnych murach.

— Chciałabym być lepszą,—myślała Sybilla, spoglądając na sklepienie błękitnego nieba nad jéj głową—chciałabym być wielką, lub heroiczną, lub wreszcie dobrą, zamiast niedorzeczną, płochą jak ja istotą. Małą jestem w osobie, małą w umyśle, małą w usposobieniu—to do obrzydzenia! Po co chodziłam do kuchni, do Denizy, i po co teraz idę patrzeć na tego cudzoziemca? Arria nigdyby tego nie zrobiła.

Arria, żona Poetusa, była jedną z ulubionych bohaterek Sybilli, któréj umysł jeszcze całkowicie był zajęty klassykami. Ale logika, nieubłagana logika, szeptała jéj, iż chociaż Arria wspaniale zakończyła życie, mogła była jednak żyć prościéj.

— Przypuśćmy, iż cudzoziemiec przybyłby do domu jéj ojca—myślała Sybilla—czyżby uważała za potrzebne przyglądać mu się zdaleka, ażeby osądzić czy warto wpuszczać go do atrium. Ale dla czegobym ja nie mogła tego zrobić?

To rozstrzygnęło kwestję. Sybilla przeszła przez tę część klasztoru która kiedyś wyznaczona była dla nowicyuszek, pobiegła po starych schodach i weszła do pokoju, dającego widok na niższy ogród.

Dwa były ogrody w Saint-Vincent. Pierwszy, na jednym poziomie z domem, otoczony był wysokim murem; drugi, do którego dawały przystęp schody kamienne, był szerokim tarasem, gęsto obsadzonym wysokiemi drzewami, kołyszącemi się za powiewem morskiego wiatru. Stroma skała, stercząca nad morzem, była jego ostateczną granicą na zachód, a gaik i rzeka, na brzegu któréj stał młyn pana Kennedy, dzieliły go od sąsiedzkich gruntów. Ta część posiadłości pana Kennedy miała kwiaty i żwirowe ścieżki; mogła zatém być nazwaną ogrodem,—chociaż prędko straciła swoje cechy, stawszy się dziką i nieuprawną. Prawdziwy ogród stanowiła część leżąca obecnie przed oczami Sybilli. Był on mały, spokojny i wystawiony na słońce. W środku trawnika stał stary kompas, a na nim obecnie rozciągnął się gość, okazując tym sposobem niezwyczajną długość swojéj postaci. Był długi, chudy, z melancholicznym wzrokiem, brudną twarzą i długimi czarnymi włosami, a przytém wyglądał tak rozpaczliwie, iż patrzenie nań wcale nie sprawiało przyjemności. Odzież jego była zniszczona, a torba podróżna, leżąca obok na trawie, dość mała. Taki gość zdziwił bardzo Sybillę. Kto on był, i jaki szereg kłopotów nadał mu taką zbiedzoną minę? Po różnych przypuszczeniach osądziła nareszcie iż był to albo bezdzietny wdowiec (zatém ze złamaném sercém, ma się rozumieć), albo rozbitek z okrętu. Skłaniała się do ostatniego przypuszczania. I w istocie było ono prawdziwe. Obcy, na którego teraz patrzysz Sybillo, nigdy nie miał żony ani dzieci, a smutek malujący się na jego twarzy nie powstał z powodu ich straty. Ale wędrował on długo po twardéj ścieżce życia, po ciemnych i jałowych wybrzeżach, nie uratowawszy z tego pięknego okrętu, który niegdyś wypływał pełen obietnic, nadziei i tym podobnych dobrych rzeczy. Lituj się nad nim, szczęśliwe dziecię losu, lituj się nad nim i módl się, ażeby cel jego smutnéj podróży, nie był smutniejszy jeszcze, niż droga, która doprowadziła go tak daleko.

ROZDZIAŁ II.

— Biedny człowiek! — myślała Sybilla, patrząc przez okno. Jaki znużony. I odzież pyłem pokryta. Widać nigdy nie chodził pieszo. Muszę powiedzieć Narcyzowi, aby go wprowadził do pokoju. —

Ale właśnie gdy Sybilla doszła do tak ludzkiego postanowienia, ujrzała ojca schodzącego po stopniach prowadzących z wyższego do niższego ogrodu. Pan Kennedy był wcale przystojnym mężczyzną. Miał lat pięćdziesiąt, ale wyglądał młodziéj o jakie dziesięć lat. Ani jedna srebrna nitka nie połyskiwała w jego czarnych kędziorach. Niebieskie oczy błyszczały jak u dwudziestoletniego młodzieńca; uprzejmy, pełen życia uśmiech igrał mu na twarzy, jak promień słońca, odkrywając czasem zęby śnieżnéj białości. Spojrzenie wprawdzie było nieco chytre; a choć uśmiech był słodki, nie łatwo jednak było dotrzeć do tajników jego myśli. Pomyślność, zadowolenie, wesołość malowały się na jego pięknéj twarzy i wyprostowanym chodzie, a Sybilla, która pyszniła się dobrą miną i wytworném obejściem się swego ojca, patrzyła nań z tajemném uwielbieniem, stawiając przy nim w kontraście, chudego, brudnego wędrowca.

Kennedy schodził gwiżdżąc swobodnie, gdy nagle umilkł i stanął, zobaczywszy gościa. Zmiana głęboka a nagła zaszła w jego fizyonomji, wyrażając naraz zdziwienie, niechęć, a nawet, zdaniem Sybilli, odradzę. Litość jéj dla zmęczonego wędrowca znikła od jednego razu. Przyszedł dręczyć i kłopotać ojca, więc znienawidziła go od téj godziny.

Ale Kennedy był światowym człowiekiem, przyzwyczajonym do strzeżenia i skrywania tego co czuł. I gdy nieznajomy się obrócił, właściciel Saint-Vincent był już spokojny, wesoły i uśmiechnięty. Posunął się do gościa, z wypogodzonem czołem i podał mu rękę.

— Jak się masz, panie Smith? powiedział serdecznie. To ładnie żeś zajrzał przecie tu do mnie. Wszystko idzie pysznie, pysznie.

— Tym lepiéj dla pana, odpowiedział Smith, — ale spojrz na mnie. —

— Eh, co tam, rzekł Kennedy, klepiąc go po ramieniu; niech się ludzie pytają czém byłeś.

— Tak, głupcem, którego pieniądze prędko się rozeszły, — odpowiedział Smith, z posępnym wzrokiem.

— Brednie, odpowiedział wesoło Kennedy: — Opowiesz mi to wszystko po obiedzie, albo jutro rano, jak ci dobry sen humor naprawi; a teraz pójdźmy. —

Weszli do domu razem i znikli z oczu Sybilli. Wkrótce potem pan Kennedy zawołał ją na dół, formalnie przedstawił pana Smith i prosił o przygotowanie dlań pokoju, jako też o przyspieszenie obiadu. Obu tym rozkazom uczyniono zadość, i w prędkim czasie pan Kennedy, jego córka i pan Smith zasiedli do smacznego obiadu w jadalni Saint-Vincent.

Promienie zachodzącego słońca padały przez otwarte okna na woskowaną, dębową posadzkę i pokryte obiciem mury. Z miejsca swego Sybilla widzieć mogła drzewa w ogrodzie, wiatrem poruszane. Słodki zapach lewkonji dochodził ją za każdym powiewem. Ptaszki świergocząc przelatywały mimo okien,—wszystko tchnęło radością, weselem. Ale Sybilla spoglądała na pana Smith, i jakiś ciężar ją gnębił. Ten człowiek, gminny w obejściu, w wymawianiu nadużywający litery H (*), jedzący chciwie i samolubném okiem wybierający najlepsze kąski, podpierający się łokciami na stole, i rozprawiający ciągle tylko o jakimś niezrozumiałym procesie z panem Dermot, miał przy tém wszystkiém wzrok pełen groźnéj potęgi i hartu, którego unikali zarówno mężczyzni jak kobiety, będące w jego towarzystwie.

— Wygląda jak brzydkie, zaciemnione niebo, przed nadejściem burzy—myślała Sybilla, dziwiąc się, że ojciec zdawał się nie doznawać tego wrażenia, i że mógł rozmawiać, śmiać się, gestykulować tak swobodnie, z tak obrzydliwym panem Smith.

Ale nadewszystko dziwiła się, że ojciec był z nim znajomy. Zaprawdę, przyjacielskość i uprzejmość pana Kennedy dla pana Smith, godne były uwagi. Kennedy był dorobkowicz i pyszny, jak to zwykle w takim razie bywa. Miał z natury upodobanie w wytworności, które rozwinięte późną ale staranną edukacyą, czyniło go dumnym, czasem nie do zniesienia. Ale tu był za pan brat z tym poziomym panem Smith, grzecznie słuchając jego nędznych żarcików, śmiejąc się z nich nawet, dotrzymując mu kompanji, jak można najlepiéj, rozweselając go, i zdając się najzupełniéj gustować w jego nudném towarzystwie. Młodość jest bystra i nie da się całkowicie oszukać. Sybilla była pewna że przyjacielskość jéj ojca była w znacznéj części przymuszoną. Nie chciała tego przyznać sama przed sobą, ale wiedziała o tém, i przez logikę serca, — niezawsze najmędrszą, ani najlepszą — podwajała surową swą niechęć dla pana Smith.

I p. Smith też nie myślał o przypodobaniu się pannie Kennedy. Zupełnie ją ignorował. Zaledwie kiwnął głową gdy mu co po-

(*) W angielskim języku cecha Irlandczyków. (Przyp. tłum.)

dawała, a w miarę postępu obiadu z coraz z większym przydechem wymawiał literę H, lub też znowu zupełnie ją opuszczał, jak się zdarzyło, przemawiając coraz bardziéj stanowczo i coraz bardziéj nudząco. Sybilla przypisywała to licznym libacyjom, a fakt ten nie podwyższył biednego jegomości w jéj opinji.

Nie zważając na jéj nieukontentowanie, Smith zapalał się tylko wtedy, gdy mówił o swoim procesie z panem Dermot, którego imię z coraz większą goryczą wymawiał.

— Wiem że pan z nim trzymasz — rzekł kiwając głową — ale to nic nie znaczy. Jeżeli jest prawo w Irlandji, ja go schwycę — ja się przypnę do niego. —

I uderzył pięścią w stół, tak, iż aż talerze zabrzękły.

— Przypuśćmy że nie ma prawa w Irlandji — rzekł sucho Kennedy.

Ciemne, ponure oczy Smith'a zabłysły nagle.

— Ja zrobię prawo! — rzekł, ledwie dysząc.

Sybilla obraziła się i przelękła, ale ojciec jéj zaśmiał się tylko i odpowiedział wesoło

— Łatwiéj powiedzieć niż zrobić.

— Gdzie wola — tam i czyn, rzekł Smith.

Ale w głosie jego czuć było już chrypkę pijanego. Sybilla nie pokrywała już swego wstrętu, a i ojciec jéj osądził, że dość tego dla niéj; spojrzawszy bowiem, rzekł znacząco:

— Niemiła to dla ciebie historya, Sybillo.

— Tak, i cały dzień zeszedł mi niemiło, odpowiedziała z wyrzutem.

Zabrałeś ojcze klucz od biblioteki. —

Kennedy należał do młodszéj generacyi posłusznych ojców, ale jakkolwiek okazał żal z wymówki córki, nie podał klucza, po który już rękę wyciągnęła.

— Sybillo, rzekł, nie lubię żeby młoda jak ty dziewczyna, plądrowała swobodnie po biliotece. Nie znam tych książek.

— O, tam nie ma romansów, odrzekła Sybilla niecierpliwie,— same stare książki.

— To jeszcze nie znaczy żeby miały być dobre, — wtrącił Smith, po raz pierwszy odzywając się do Sybilli.

Wlepił w nią ponury, ociężały wzrok, który rozdrażnił i obraził młode dziewczę.

— Stare księgi to często stare grzeszniki, — mówił daléj Smith,—po co one dla takiego dziewczęcia jak panna?

— Lubię je, odrzekła zadąsana Sybilla.

— To nic nie stanowi, mówił daléj Smith, niepewnym, pijackim tonem. — Ja nie lubię być tutaj, a jestem. Ojciec pani nie lubi mnie tutaj, a ma mnie tu. Wszyscy robimy to, czego nie lubimy, moja pani.

— Brednie, rzekł Kennedy wesoło. — Kto ci to wsadził do głowy, panie Smith?

— Toć to oczywiste. Przybyłem dla interesu, którego pan nie lubisz — tak jak ja nie lubię tego Dermota —

— Nie tak wcale, przerwał Kennedy. — Cieszę się że pana tu widzę. A teraz Sybillo, rzekł, zwracając się do córki, co będziesz czytać?

— Ojców greckich, rozumie się nie po grecku.

— Ojców greckich? — rzekł Kennedy, uśmiechając się i szczypiąc ją w policzek. — Dobrze, sądzę że mogę cię powierzyć ojcom greckim. Oto klucz, a nie zapomnij o herbacie, tak jak wczoraj. —

Sybilla kiwnęła głową i rada że może uciec od pana Smith i jego ponurych oczów, lekko wybiegła, kręcąc kluczem na drobnym paluszku.

— Dziwi mnie to, dla czego ten szkaradny Smith przybył, — myślała, wchodząc do biblioteki.—Wygląda jak oszust. Żal mi żem mu nie powiedziała że jestem zupełnie za Dermotem. A, toby dopiero wytrzeszczył czarne, bezczelne oczy...

Myśl o podziwieniu Smitha na chwilę tylko uderzyła jéj wyobraźnię. Stanąwszy w bibliotece zapomniała o wszystkiém innem.

I któż z czytelników nie czuł nigdy wrażenia, jakie wywiera taki pokój poświęcony nauce i wiedzy, gdzie milcząca mądrość wieków cierpliwie za rękę prowadzi uczącego się. Cisza i spokój dyszą w powietrzu którém tam oddychamy. Na progu ustają i kłopoty i rozkosz i wszelkie rozmaitości dziennego życia. Poczucie odpoczynku ogarnia serce na widok tych tomów, odwołujących się tylko do myśli, nie do namiętności. Gorączka, rozdrażnienie, będące naszym udziałem w sprawach dziennych, ustępują rozkosznemu umysłowemu spoczynkowi, uśmiechającemu się jak bajeczny lotus, ale nie odurzającemu, ani osłabiającemu.

A Sybilla była czytelniczką taką, jaką można być tylko w siedmnastym roku — żarliwą, niezmęczoną, zawziętą. Ilekroć weszła do tego długiego, niskiego pokoju, z oknami wychodzącemi na klasztor, i pułkami pełnemi starych książek, nie sądziła już izby Saint - Vincent był nudnym starym domem, ale w duszy wydawał się jéj Edenem.

Opactwo Saint - Vincent należało do rodziny Renneville, od któréj kupił je Kennedy, wraz z meblami, biblioteką i wszystkiém. A stary jakiś ksiądz napełnił bibliotekę poważnymi i ważnymi foljałami, wcale nieobliczonymi na lat siedmnaście i umysł dziewczęcy. Ale jakkolwiek młoda i wesoła, Sybilla znajdowała smak w najsilniejszym pokarmie umysłowym. Naturalnie, wolałaby poemat lub powieść niż ojców greckich lub łacińskich, ale w braku pierwszego, mogła lubować się i czuć majestatyczność Atanazyusza, słodycz Bazylego, lub subtelną piękność Augustyna. Obecnie wyjęła Efrema Syryjskiego, i siadłszy w głębokiéj framudze okna, czytała opis dnia sądu ostatecznego. Z początku Sybilla była dość spokojną; ale gdy przed nią rosła ciągle wschodnia imaginacya tego wrażliwego autora, gdy na jego głos stanęły przed nią tłumy umarłych, a nawet nienarodzonych jeszcze, z wszelkich wieków i wszelkich narodów ludzi i gdy tak stanęli przed Sędzią Przedwiecznym, strach nią ogarnął, i wpół zamknąwszy książkę, spoglądała na klasztor pogrążający się w zmierzchu. Dziwne fantazye ją opanowywały. Była zarazem aktorką i widzem na téj wielkiéj scenie. Były tam zakonnice opactwa w białych zasłonach, była jéj ciotka Miss Glyn; ujrzała najdroższą swoję przyjaciołkę, Blankę Cains, z jasnym włosem rozpuszczonym na szyi, i jéj ojca, smutnego, zgnębionego, i pana Smith, podnoszącego się w całunie, z wyrazem przerażenia, w omgłałych, czarnych oczach.

Tu zatrzymała Sybilla rozbujałą wyobraźnię. Wstała rozdrażniona, bo w bibliotece było już zupełnie ciemno, a ciemność obudzała w niéj dziecinną bojaźń. Niepewne kontury przedmiotów robiły jéj z każdéj rzeczy widziadło. Strach wyglądał z każdéj pułki i z każdéj książki. Smith nazwał je starymi grzesznikami — a gdyby też zeszły z pułek jak duchy? Ale nie.—Nie będę tchórzem, pomyślała Sybilla, zdobywając się na odwagę.—Nie będę.—

Zwróciła oczy na przestrzeń przed oknami, oświeconą nieco wieczorną zorzą, i na ciemne kontury klasztoru, za którym migotała gwiazda na ciemném tle nieba. Spoglądając na nią, Sybilla opuściła bibliotekę, zeszła na dół, do ogrodu, gdzie odetchnęła swobodniéj, spotkawszy Denizę i Narcyza polewających kwiaty.

Noc była balsamiczna, pogodna. Prawdziwie anielska cisza zalegała obszary niebieskie, na których Wszechmocna ręka zasiała błyszczące gwiazdy. Powietrze przejęte było wonią kwiatów, a zdala słychać było słaby huk morza.

— Cóż za trwożliwa ze mnie istota, — myślała Sybilla, z wyrzutem saméj sobie. Przestraszyłam się tych biednych, starych książek, których przedemną może nikt nie czytał!

Zapytała się o to Denizy. — Ta wiedziała tylko, że ksiądz był wielkim zwolennikiem czytania.

— Młody hrabia de Renneville także bardzo lubił czytać, i wiele książek zabrał do zamku Raymonda.

— Raymond! — co to jest Raymond?

Deniza zdziwiła się nieświadomości młodéj swojéj pani. Zdawało jéj się że cały świat słyszał o Raymondzie, wielkim żeglarzu, który wiódł wojnę z królami, którego okręty pokrywały morze. Ale on żył dawno bardzo, najmniéj tysiąc lat temu.

— A rodzina Rennevilles przeniosła się do jego zamku — jakimże to sposobem, Denizo?

— Pani de Renneville jest z jego rodu, a teraz matka i syn nie mają już innego mieszkania, oprócz tego zamku. Co to za dobry syn! takiego jeszcze na świecie nie było. Ale oni są ubodzy. Nie mogli utrzymać Saint - Vincent, sprzedali go więc na spłacenie długów.

— A gdzież jest zamek Raymond?

— Na tém wzgórzu, gdzie światło połyska. Stary to dom kamienny z wieżyczkami. Wié pani?

Sybilla znała dobrze ten dom. Widać było wieżyczki z okien jéj pokoju. Teraz spoglądała na światełko i smutno jéj się zrobiło. Co to za zmiana losu! Jéj ojciec, dziecię szczęścia, wyrósł z niczego, zbogacił się kilku przypadkowemi okolicznościami i zajął miejsce zubożałéj szlachty, jak oni zajęli sukcessję po skasowanych zakonnicach. Zaiste, ów stary dom był tylko hotelem w którym goście następowali po sobie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIĄZANKA.

Zabawa loteryjno-fantowa w ogrodze Saskim, na dochód Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, odbyła się w tym roku, w d. 17 b. m. w całéj okazałości. Pogoda sprzyjała, słońce błyszczało, może nawet zbyt jaskrawymi promieniami, rój publiczności kołysał się po wszystkich alejach, niby fala tęczowych kwiatów, orkiestry, a szczególniéj orkiestra Bilsego, kołysały znów serca słuchaczów i pięknych słuchaczek,—różnokolorowe lampy, zawieszone wśród szmaragdowych liści kasztanów, drżały czarującém światłem, wodotrysk bił w górę kryształowym strumieniem, koła namiotów oblężone były przez różnéj płci amatorów fortuny, próbujących upartego i zawziętego szczęścia,—dzieci igrały na zielonych trawnikach—a dorośli, spacerując lub siedząc na zakupionych ławkach, gawędzili, śmiali się, żartowali i szeptali do uszka cudnym swoim towarzyszkom... co?.. z pewnością nie o cienkości i wpływie bawełny na handel Anglii i Ameryki. Pomimo wyścigów konnych, na polu mokotowskiém—pomimo teatrów ogródkowych w Tivoli, Eldorado, Alkazarze i Alhambrze — Saski ogród był zapełniony gośćmi. Wyglądał jak żywy, zaczarowany bukiet,—bukiet, złożony po większéj części z warszawiaków i mieszkańców prowincyi, a zwłaszcza obywateli wiejskich, przybyłych na jarmark wełniany, na wyścigi, lub też na wody, albo wreszcie—ot, tak sobie, dla spełnienia dobrego uczynku.

Z teatrów ogródkowych, najwięcéj do téj pory uczęszczanym i najwięcéj przedstawiającym artystycznych warunków, jest teatr w *Tivoli*, pod dyrekcyą pana Trapszy. I gdyby tylko nie turkot uliczny, głuszący co chwila głos aktorów i zmuszający ich do niezwykłych wysileń, możnaby śmiało powiedzieć, że truppa ta zadowolniłaby nas zupełnie, wtedy zwłaszcza, kiedy występują tacy np. artyści, jak sam dyrektor, pp. Texel, Krauze, Grabiński, Morozowicz, Dłużewski i znany nam z wystąpień w Teatrze Wielkim p. St. Wardzyński, — a z personelu żeńskiego pp. Czapska i Grabińska.

Letni teatr w Ogrodzie Saskim otwarty został w tym roku dla publiczności w dniu 14 b. m. i na uroczystość tę wybrano balet: „*Zemstę owadów*.“

Pan Wł. M. przetłumaczył i wydał w tych dniach broszurę Dr. Haffnera p. t. *Materyalizm nowoczesny.* Skład główny w Redakcyi Przeglądu Katolickiego. Praca ta ma na celu obalenie wpływów materyalistycznych Büchnera, Fejerbacha, Vogta i t. d.

Nakładem Józefa Zawadzkiego wyszedł: *Wywód prawdy Chrześcijańskiéj, ze stanowiska dogmatu i historyi*, z francuzkiego dzieła *Augusta Nicolasa*, przełożony przez E. F. Massalskiego, 2 tomy in 8-vo.

Wyszedł VI-ty zeszyt: *Muzeum Sztuki Europejskiéj.*

M. Dzikowski wydał satyryczno-humorystyczną broszurę p. t. *Kosa.* Ostre to i niebezpieczne narzędzie tnie w lewo i w prawo, nietylko chwasty społeczne i literackie, ale nawet i kwiaty. Pal licho chwasty, lecz kwiatów... szkoda!

W Petersburgu wyszło z pod prassy znakomite 2-tomowe dzieło, A. Zabłockiego-Diesiatowskiego p. t. *Zarząd finansowy i finanse pruskie.*

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu wyda dnia 19 lutego 1873 r. obszernych rozmiarów wyczerpujący życiorys Kopernika (na który ogłoszono konkurs), album rzeczy pamiątkowych po sławnym astronomie i medal na uczczenie czterowiekowego jubileuszu jego urodzin. Każdy kto złoży sześć talarów, otrzyma po jednym egzemplarzu wymienionych potrójnych pamiątek.

Dr. Aleksander Winklewski przetłumaczył i wydał w języku niemieckim, *Monomachią* Krasickiego.

Biblioteka Warszawska drukuje powieść Jana Zacharyasiewicza p. t. *Człowiek bez jutra.*—



Polowanie na Słonie. (str. 195).

Na zakończenie przytoczę jeszcze następujący fakcik:

W tych dniach spotkałem się na Krakowskiém Przedmieściu ze znajomym mi obywatelem wiejskim. Po przywitaniu się, zapytałem go co myśli robić w Warszawie.

— Panie dobrodzieju, odpowiedział mi, jestem tylko w przejeździe i na wylocie. Udaję się do Karlsbad.

— Cóż Panu jest? wyglądasz zdrowo...

— Gdzie tam, panie dobrodzieju, gdzie tam. Gospodarstwo, kłopoty, żona, córki etc. etc.—jestem słaby i kwita. Ale, gdzie pan idziesz—możebyśmy się gdzie przeszli ?..

— Idę się kąpać.

— Do Wisły?.

— Tak, do Wisły. Chodź pan—może to lepsze niż Karlsbad...

Szlachcic poszedł i siedział z godzinę w wodzie.

Po kąpieli odezwał się:

— Panie dobrodzieju, mam szalony apetyt!

Po załatwieniu się z apetytem dodał:

— Możeby co wypić?

Po dwóch butelkach węgrzyna krzyknął!

— Zdrów jestem jak ryba, panie dobrodzieju! Pal djabli Karlsbad, już tam nie pojadę!

I nie pojechał — oszczędziwszy sobie przez to niepotrzebnego wydatku — kilku tysięcy.

△

Postscriptum:

Otrzymaliśmy do umieszczenia, co następuje:

— „W Numerze 23-m „*Opiekuna Domowego*“ z r. b. z całą przyzwoitością starałem się odpowiedzieć panu Adamowi *Wiślickiemu*, Redaktorowi „*Przeglądu Tygodniowego*“ (?!), na jego najniesłuszniejszą napaść, jakobym wizerunek „Wieliczki“ w Opiekunie Domowym powtórzył z „Magazynu powszechnego“ przed trzydziestu laty w Warszawie wychodzącego. Szanowny Redaktor pisemka o jakiém mowa, w odpowiedzi na mój artykuł, w swoich „Echach Warszawskich“, zamiast iść drogą prawdy i mówić o tém o co zaczepiał innych, że użyjemy wyrażenia gospodarskiego „wykręca się sianem“ — Zarzut sprzeczności w ocenieniu zasług (?!) Przeglądu Tygodniowego sam przez się upada; boć jeżeli Redaktor chwalił to wydawnictwo, nie jest rzeczą konieczną, aby wydawca podzielał jego zdanie, chociażby był nawet „Dyrektorem“ pisma, jak nieszczęśliwie podobało się nazwać mnie p. Wiślickiemu.—Błąd w podpisie pod ryciną „Belladonna“ w Opiekunie Domowym, nie był błędem wydawcy, lecz był błędem drukarskim.—Przycinki więc dla Redaktora „Gazety Rolniczéj,“ z tego względu wymierzone, dotknąć mogą tylko tego kto je wymierzał. Dziwną jest rzeczą, że pan Wiślicki, wydawca „Tajemnic Paryża“ i t. p. niedorzeczności, mówi „o poprawie obyczajów.“—Wydając przez lat wiele „Opiekuna Domowego,“ a nawet sterując przez pierwsze lat cztery jego redakcyą, sądzę że nie dałem nigdy powodu to takich przypuszczeń;—dziś odstępując to wydawnictwo w obce ale zacne ręce, zdaje się że umiałem zrobić wybór stosowny, a zatem słowa Redaktora „Przeglądu Tygodniowego, — słowa „jakie to osobistości stoją na czele pism naszych,“—głęboko przez pana Wiślickiego wzięte być powinny do serca, abyśmy uwierzyli, że szczerze myśli o poprawie.

Tą koleżeńską radą—radą po raz ostatni udzieloną, gdyż nigdy już żadnéj nie damy odpowiedzi na napaści tak widocznie osobiste, zakończamy nasze powołanie, jako wydawcy „Opiekuna Domowego,“ który to organ przed laty siedmiu, sami powołaliśmy do życia.

Ludziom dobréj woli, co nas wspierali swém współpracownictwem, radą i zachętą, — tym z koleżeńskich organów prassy, co nas ocenić zdołały—serdeczną składam podziękę.“

Adam Mieczyński.

Redaktor Gazety Rolniczéj.

Дозволено Цензурою. 9 (21) Іюня 1871 г.— **Redaktor i Wydawca**, Franciszek Gumowski

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.